OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 8 (20) Listopada 1867 roku.

Nr 47. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie.
Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

JÓZEF PEPŁOWSKI.

Przystępując do skreślenia biografji zasłużonego jakiego cudzoziemca a zmarłego na obczyznie, gdzie żył długo, pracował i dobił się do pewnej wziętości i położenia socjalnego, natrafia się na wielkie trudności — bo na brak zupełny różnych szczegółów, któreby mogły do opisu posłużyć. Obcy bowiem ludzie nie mogą znać dobrze, a zwykle nawet wcale nie znają szczegółów życia tego cudzoziemca jakie on przechodził, zanim przybył zkądciś tam daleko, z zupełnie innych stosunków i osiadł pomiędzy niemi. A nawet i wtedy kiedy już przybył, każdy cudzoziemiec z początku przez czas dłuższy lub krótszy, co zależy wiele od różnych okoliczności, żyje odosobniony pomiędzy mieszkańcami kraju, w którym zmuszony był losowemi wypadkami osiedlić się stale. Współrodacy także o takim cudzoziemcu nie wiele mogą—również dla tych samych prawie przyczyn—udzielić szczegółów, gdyż często nie znali go w młodości, a później nie zawsze żyć z nim mogli razem, bo to na świecie los czasami dziwnie ludźmi gania, zmieniając często ich miejsce pobytu, a ztąd i osoby znajome. Niechże więc czytelnicy uwzględnią te okoliczności i mają nas za usprawiedliwionych, żeśmy nie zdołali podać kompletniejszego opisu życia znanego professora w Szkole rolniczej w Grignon, pod którego kierunkiem nie jeden z naszych młodych ziomków się kształcił.



Józef Pepłowski.—(rys. Kozarski, wycięto w drzeworytni Webera w Lipsku).

Józef Pepłowski był rodem z Galicji, chodził do szkół w Stanisławowie, a następnie w Przemyślu, zkąd udał się do Wiednia i był uczniem tameczneJ Szkoły politechnicznej. W r. 1840 przybył do Francji i wszedł zaraz do Szkoły rolniczej w Grignon, z której wyszedł w roku 1843 jako Inżynier rolniczy z dyplomem.

Zapoznawszy się ze sławnym chemikiem francuzkim panem Regnault, został przez tegoż umieszczonym w jego laboratorjum w Paryżu, gdzie Pepłowski okazał dowody wielkiej pracy i rozwinął całe swe w chemji zdolności.

Wkrótce jednak opuścił on Paryż i odbył naukowo-rolniczą podróż po Francji, Belgji, Hollandji i Anglji, zkąd po powrocie otrzymał polecenie urządzenia wzorowego folwarku (fermy) naprzód w Normandji, a następnie w Solonji, z czego się zupełnie zadawalniająco wywiązał. Zanominowany repetytorem czyli nauczycielem młodszym w rolniczej szkole w Grand-Jouan, wkrótce postąpił na professora do wykładu chemji w Grignon, a to w skutku najlepszego wywiązania się z ustanowionego na tę posadę konkursu, z pomię-

dzy wielu przedstawiających się kandydatów o tę katedrę.

Będąc już professorem chemji w Grignon, otrzymał od Ministerjum upoważnienie do założenia i prowadzenia Szkoły rolniczej przygotowawczej w Neauphle-le-Chateau, małem miasteczku, tuż pod Grignon leżącem, gdzie sam mieszkał i gdzie wszyscy professorowie grignońscy mieszkają, przyjeżdżając tylko na wykład lekcji w oznaczonych godzinach do Grignon. Szkołę tę przygotowawczą bardzo korzystnie i pomyślnie dla młodzieży sposobiącej się do wejścia do Grignon prowadził, ztąd też miał zawsze dosyć w niej uczniów.

W roku 1860 jako członek wielkiej Wystawy w Paryżu, otrzymał wielki medal w nagrodę.

Corocznie podczas wakacji uczniowie ze szkoły w Grignon, pod jego kierunkiem odbywali naukowe podróże po Francji, Szwajcarji, Niemczech, Belgji, Hollandji i Anglji. Odbywanie takie wycieczek w czasie wakacji, bardzo zalecał młodzieży, jako wysoko uzdalniające, co i my musimy również naszej młodzieży do naśladowania przedstawić, jako przyczyniające się do pełniejszego wykształcenia, do nadania zebranym wiadomościom w szkole pewnego praktycznego kierunku, a przytem wpływające nawet bardzo korzystnie na samo zdrowie młodzieży, prowadzącej przez miesięcy kilka życie siedzące w szkole. Podróże takowe odbywał w kraju przez lat wiele szanowny nasz professor Wojciech Jastrzębowski, z czego wielu też uczniów byłego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie korzystało. Nie tylko jednak uczniowie szkół rolniczych powinni podróżować, ale także i wszelkich innych naukowych Zakładów; starsi wiekiem uczniowie, zwłaszcza pod kierunkiem professora odbywający taką naukową podróż, mogą z niej zawsze znaczny pożytek osiągnąć.

Zmarły Pepłowski pisał mało do pism perjodycznych, gdyż zaledwie zamieścił w nich kilka sprawozdań z uskutecznionych przez siebie chemicznych analiz, w których robieniu odznaczająco się celował i którym najspecjalniej z całej chemji się poświęcał. W ogóle o naukowym zawodzie i o zdolnościach professora Pepłowskiego to można powiedzieć, że jakkolwiek nie był on wcale taką pierwszorzędną gwiazdą w chemji, jak: Payen, Dumas, Regnault i t. p., to jednak posiadał ją nadzwyczaj gruntownie, i że chociaż nie był tak twórczych zdolności jak wspomnieni chemicy francuzcy, to odznaczał się za to obszernemi w tej nauce wiadomościami, które długą i ciągłą bo do chwili zgonu z niezmordowaną wytrwałością prowadzoną pracą, umiał sobie nagromadzić. Pracę tę jego oceniali dobrze Francuzi, a jego znajomi współrodacy pamiętają to dobrze, że lubo był czasami w dość trudnem położeniu jeszcze w czasie swego pobytu w Paryżu w pierwszych latach zamieszkania we Francji, to jednak nigdy się tem nie zniechęcał, ale pracował ciągle w ulubionej swej nauce, nie raz odmawiając sobie wszystkiego, aby tylko módz zrobić jakieś doświadczenie chemiczne. Niezmordowana zatem praca, jest przedewszystkiem ową wielką zasługą Pepłowskiego i jej też to on jedynie zawdzięczał swe położenie jakie sobie wyrobił we Francji, a jakie nie przychodzi tak łatwo utworzyć sobie cudzoziemcowi przybyłemu bez znajomości, protekcji i funduszów.

Józef Pepłowski ożeniony był z Francuzką, córką obywatela zamieszkałego w Neauphle-le-Chateau, pozostawił pięcioro dzieci i niewielki majątek, zebrany własną pracą i oszczędnością.

Umarł w dniu 15 Listopada 1864 roku, a głównie przyczyniła się do jego śmierci chęć leczenia się samemu: czując się bowiem od pewnego czasu mocno cierpiącym, zażył zbytnią ilość emetyku, który mu apopleksją sprowadził.

S. p. Pepłowski mógł liczyć około 50 lat wieku i był tuszy otyłej.

Umarł żałowany powszechnie przez znajomych, kolegów i licznych swych uczniów. Na grobie jego miał mowę pan Franciszek Bella (syn), obecny dyrektor cesarskiej Szkoły rolniczej w Grignon, którą to mowę dla większego skompletowania biografji ś. p. Józefa Pepłowskiego, zamieszczamy tutaj.

„Niech mi wolno będzie, powiedział pan Bella, przed złożeniem w grobie zwłok tu będących, powiedzieć słów kilka w imieniu Szkoły grignońskiej, jako słuszny hołd zasłudze i jako ostatnie nasze pożegnanie.

Zmarły, którego ciało właśnie teraz chowamy, należał podwójnie do naszego zgromadzenia: bo jako dawny uczeń i jako professor następnie.....

Byliśmy tak szczęśliwi, żeśmy go mogli przyjąć w nasze grono, a jeszcze szczęśliwi, żeśmy go widzieli w pośród nas zdobywającego sobie stanowisko i znajdującego tutaj nową ojczyznę.

Ale jakichże to wysileń, niezłomnej woli i pracy potrzeba było panu Pepłowskiemu, ażeby osiągnął tak pożądane wypadki! Niechże młodzież idąca jego śladem, bierze to sobie za przykład.

Professor Pepłowski był najprzód uczniem Szkoły politechnicznej w Wiedniu. Był on już dobrym chemikiem, ale podczas swego pobytu w Szkole grignońskiej, poświęcał ciągle jednak pracom w laboratorjum chemicznem—wszystkie swe chwile wolne, które jego koledzy przeznaczali rozrywkom.

Dochodząc wszelkich możliwych zastosowań swej ulubionej umiejętności, badając jej nieznane jeszcze tajemnice, goniąc tak za pracą jak inni poszukiwali spoczynku, wyrobił też sobie przodkujące miejsce w rzędzie uczniów grignońskich.

Jego niezmordowaną gorliwość, jego zdolność prędko spostrzeżono i umiano należycie ocenić, to też po ukończeniu studjów, był kolejno wezwanym do Normandji i Solonji przez pewnego właściciela, który go żądał do siebie przywiązać. W tych to miejscowościach położonych u dwóch biegunów bogactwa rolnego we Francji, nabył on doświadczenia w praktyce gospodarstwa wiejskiego i był rolnikiem.

Ale nie był to jeszcze stanowczy zawód dla niego. Professor Pepłowski bowiem raz już oddawszy się umiejętności, pragnął tylko przedewszystkiem jej się poświęcić najzupełniej.

Korzystając zatem ze swych niewielkich uciułanych oszczędności, chciał on jeszcze w Paryżu słuchać wykładów najznakomitszych chemików i nie wahał się znów zasiąść na ławkach pomiędzy słuchającymi kursów chemji rolniczej.

Potem był nauczycielem młodszym (repetitorem) w Szkole Grand-Jouan, gdzie jego świetne przymioty zostały spostrzeżone i gdzie się odznaczył przez bardzo użyteczne zastosowania chemji. Potem występuje na wyznaczonym konkursie, jako jeden z kandydatów do katedry tej nauki w Grignon.

Było to trudne przedsięwzięcie! Trudności wysłowienia się w języku francuzkim, stanęły pomię-

dzy nim i jego sędziami. Usłyszał zatem, że pozycja do której zajęcia tyle dołożył usiłowań, przeznaczoną jest dla krajowców tylko.

Nie ma jednak żadnych niepodobieństw dla silnej woli: to co zna, umie on wypowiedzieć z łatwością, a przytem pokazuje się dokładnie przysposobionym! Naturalizuje się w kraju, który go już od dawna przyjął i tak usuwając wszelkie trudności, zostaje zamianowany nakoniec professorem chemji i fizyki w Grignon.

Przypominamy sobie zawsze jego pierwiastkowe wystąpienia na tej katedrze, którą potem przez lat czternaście z takiem odznaczeniem się zajmował.

Tak jakbyśmy widzieli jeszcze tę młodzież zdziwioną i odpychaną przez niepoprawność jego języka, a przyciągniętą jednak wkrótce przez potężne zainteresowanie praktyczne, jakie umiał nadać przykładami swej umiejętności i pozyskaną odtąd stale wziętością przez swe niezaprzeczone zasługi.

Lecz jeszcze panom musimy nadmienić o świeżo zgasłym naszym towarzyszu, że Pepłowski nie był tylko takim professorem chemji rolniczej jakim może być każdy, który jest zarazem zdolnym chemikiem i rolnikiem; był on bowiem jeszcze manipulatorem upassjonowanym do tego, a przytem w jego piersiach biło wyborne serce, łatwo się wzruszające na wszystko co jest poczciwe, szlachetne.

I tem to właśnie umiał on zawsze do siebie pociągnąć młodzież!

Ah! spoczywaj teraz w pokoju, drogi nasz towarzyszu! Jeżeli dzień twoich trudów był zbyt krótki, dla dania ci możności położenia wszelkich zasług dla swego nowego kraju, tak jak byłeś zdolnym do tego, to skiba którąś ty wyrobił na polu naszej pracy, nie zostanie przez czas zatartą, ani też twe nauki i przykłady nie zostaną dla nas straconemi nigdy.

I my życzliwość i poświęcenie któreśmy ci zawsze pokazywali, przeniesiemy teraz na twą młodą familję—na tę, którąś za życia tyle kochał i dla której tyleś pracował zawsze."

Zygmunt Gawarecki.

ZAPŁATA NIEBIESKA.

PIEŚŃ Z LEGENDY,

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr 46).

Lecz ni królewskich rumaków,
Ni chłopskich nie ma stępaków,
Ani bydełka na błoni,
Tylko ukryte w manowiec,
Jest stado niby to owiec,
Od których pasterz gdzieś stroni.
Owce dziwaczne, ponure,
Nie jedzą, stoją z osobna,
Kości im widać przez skórę,
Choć łąka taka zasobna,
Choć nikt tam wejść się nie waży,
Bo są brytany na straży.
Pasterz ów patrzy gdzieś w pole,
Jak gdyby nie chciał znać stada,
Jak gdyby cierpiał niedolę,
Nie spojrzy mile, nie gada.
— Kiedy namyślać się zacznę,
Zkąd takie stado dziwaczne,
I czemu pasterz ten smętny,
Do człeka mówić nie chętny;
Naraz rozgłośna i świeża
Piosnka mnie zdala uderza.
Więc spojrzę, z której to strony
Tak śliczne dźwięczą mi tony—
Aż tam, za płotem, za drogą,
Gdziem nie przewidział nikogo,
Gdzie same skały, urwiska
I tylko trochę pastwiska,
Gdzie na pół piasek i chwasty—
Albo jałowiec krzewiasty,
Tam uwijając się skrzętnie,
Pasterz tak piosnkę zawodzi,
Aż krew rozruszał mi w tętnie,
Aż serce biło mi młodziej.
I on ma także swe stadko:
Owieczek wiele dokoła,
Lecz każda żywa, wesoła,
Z sierścią bieluchną i gładką;
I każda jakby ulana,
Co się popasie to skoczy,
To się popatrzy na pana,
Lub słucha pieśni ochoczej.
Więc w wielką wpadłem dziwotę,
Zkąd taką miały ochotę
Na lichej trawce niebogi,
Gdy w owej pierwszej tam łące.
Owce wychudłe, milczące
I pasterz jakiś złowrogi...
A ten i witał mnie chętnie
I drogę wskazał tak skrzętnie."
— „Zkąd?—na to święty Piotr rzecze,
Ztamtąd, gdzie życie człowiecze
Na dwie się drogi rozdziela:
To pierwsze stado—bogaci,
Dla których wszystko wdzięk traci;
A żywot ciągła niedziela,
Lecz którzy w ciągłym przesycie
Gubią i radość i życie.
A drugie stado — to biedni,
Dla których żywot powszedni,
Praca i ufność w Niebiosach,
Która nie ginie w złych losach.
A czemu im tak wesoło
Ty wiesz, bo chociaż twe czoło
Pracy zlewało się potem,
Jednak dźwigając się z młotem,
Im było nie raz boleśniej,
Tém głośniej grzmiałeś swe pieśni"...

XIII.

— ,,Już prawie końca dochodzę:
Kilka mam tylko wyrazów
O najdziwniejszym z obrazów,
Którem napotkał w mej drodze."
Tak mówił kowal, a w twarzy
Widać jak myśl mu się waży
I jak się plącze osnowa;
Nareszcie zaczął w te słowa:
— ,,Pasterz mnie zawiódł pod górę,
Gdzie droga wązka i ślizka
W strome wchodziła urwiska,
Albo w jaskinie ponure.
Lecz kto szedł tam gdzie ja chciałem,
Ta droga jego udziałem.
Tu już skończyło się życie:
Ani zwierzęcia, ni człeka,
Bo w twardym, dzikim granicie,
Słońce rośliny wypieka;
Człowiek tam nie ma schronienia,
Zwierz ani krzty pożywienia.

Po drodze ciężkiej i długiej,
Przebyłem wreszcie jarugi,
I kiedy zorze świtały,
Dosięgłem wierzchu tej skały.
Alem się strwożył: wprost ku mnie
Patrząc wyniośle i dumnie,
Twór tu żyjący jedyny,
Człowiek, jak pan tej dziedziny,
Wyszedł i stanął w kształt slupa:
Twarz bladą miał jak u trupa,
Wargi jak klejem ściśnięte,
A oczy tak zaklęśnięte,
Że dzikie kółko źrenicy
Drgało jak ogień w ciemnicy.
Bruzdy na czole nasrożył,
Ręce na piersi założył
I przystąpiwszy tak blizko,
Jakby chciał strącić w urwisko:
,,Czegoś tu?—krzyknął, szalony!"
— ,,Niech będzie Pan pochwalony"
Rzekłem. ,,Tu nie ma nikogo,
Mówił mi na to złowrogo,
A kto się sunie krok dalej,
W przepaść śmiertelną się zwali."
— ,,Czemu spoglądasz tak srogo
I czemu stajesz przed drogą?
Jej oko moje nie traci,
Ona tam.. wielu z mych braci
Takiemi idzie drogami,
I ty tam dojść byś mógł z nami.."
— ,,Ja z wami? Wiedz to, mym szlakiem
Jakby piorunu gzygzakiem,
Nikt iść nie może. W tej górze
Koniec stworzonej naturze,
Tum ja dosięgnął, nikt inny!
Czegóż chcesz starcze dziecinny?"
Tu człowiek rozwarł wszerz ręce,
I szarpiąc siebie jak w męce,
Zaczął obchodzić szczyt kołem.
Wtedy ja znowu zacząłem:
— ,,A ty gdzie pójdziesz ztąd dalej,
Zanim cię gniew twój nie spali?"
— ,,Ztąd—rzekł, nie znajdzie nikt drogi,
Jedna jest tylko tu ścieżka,
Lecz wiedzie tam gdzie śmierć mieszka"...
— ,,A ja, *tam* pójdę bez trwogi.
Mówisz, że dalej nic nie ma?
A dla mnie, góra tam stoi
Dziesięćkroć wyższa od twojej"...
— ,,Jakto, czy widzisz oczyma?"
— ,,Widzę i... pójdę..." ,,A po co?"
— ,,Do Pana z Jego pomocą:
Jam za ,,,,Bóg zapłać"" pracował,
Alem już siły sfrasował
I młota ująć nie mogę;
Więc do Jezusa, do Pana,
Zwraca się dłoń spracowana
I prosi o zapomogę."
Tu mi ustąpił ów dumny,
Stanął jak upiór u trumny
I łokcie wsparł na marmurze,
A gdym zstępował w parowy,
Włosy powstały mu z głowy
I twarz się ćmiła jak w chmurze.
Potem się zerwał i kołem
Rwąc piersi biegł po urwisku,
I padł i ziemię rył czołem,
Jak zwierz pod ciosem pocisku...
— To był ostatni człek świata.
Wkrótce doszedłem kamienia,
Gdziem się pozbawił znużenia
I gdzie mi dana ta szata,
A zkąd jest równa już droga
Tu do tych rajskich wrót proga.
— Ach, powiedz święty kluczniku,
Co mnie w tym groźnym strażniku
Tak przeraziło, że jeszcze
Gdy wspomnę, biorą mnie dreszcze?
Czego tam stoi na szczycie
Ostatnich ludzkich manowców
I trupio plwając na życie,
Cichych nie puszcza wędrowców?
Lecz czemu sam on z tej góry
Zejść nie śmie, albo nie może
I w madejowe świat—łoże,
A myśli zmienia w tortury?
Pomóż mu Święty łagodny,
Umysł mu ześlij swobodny,
Zgaś gniewy jego lub chuci,
Niech mu się uśmiech powróci!
Straszny, lecz godny litości;
Nie bluźni tylko się zżyma;
Może to nie jest ptak złości,
Może to skielet olbrzyma?
— ,,Daremne twoje są żale:
On rzucił kwiaty i pola,
Sam obrał miejsce w tej skale,
Wolna prowadzi go wola.
Pomocy ludzi i Nieba—
Nic już dla niego nie trzeba;
On przebył wszystkie koleje,
Bo już utracił—nadzieję!.."
Tak rzekł Piotr Święty, i zcicha
Jakby go ściskał żal, wzdycha.

(*d. c. n.*)

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(*Dalszy ciąg.*— Patrz Nr. 46).

VII.

Wzajemny stosunek Antka i Mrożka miał to w sobie charakterystycznego, żeby obaj przystępowali do siebie z pewną obawą. Zwykle tak bywa między ludźmi, którzy wzajem wiedzą o sobie coś, co gdyby jawnem się stało, mogłoby ich na surową i hańbiącą odpowiedzialność narazić. Wzajemność tajemnicy jest dla nich wprawdzie zaręczeniem jej poszanowania, lecz ta gwarancja jako leżąca nie w charakterze posiadacza sekretu lecz w okoliczności zewnętrznej, nigdy ani jednego ani drugiego dostatecznie zaspokoić nie może. Tutaj naprzykład Mrożek nie miał żadnej pewności, że Antek, tajemnicy jego przed kimkolwiek we wsi niewygada, zwłaszcza kiedy się już posunął do nazwania go publicznie choć półgłosem tylko Judaszem, i kiedy w parę dni potem przychodził do niego, nie rozumiejąc widać, że ich stosunek nie powinienby być jawnym. Antkowi znowu nie mogło nie przyjść na myśl, że człowiek taki jak Mrożek, winny zabójstwa i nieumiejący się go dosyć uroczyście wypierać; komedjant który dobrze odgrywał rolę świętego człowieka, ale tam gdzie jedna chwila stanowiła wszystko tracił przytomność i odwagę i zdradzał się, jak tego dał dowód w chwili napaści w lesie; że człowiek taki, gdyby został

pociągniętym do odpowiedzialności kryminalnej, mógłby się łatwo zdradzić, a wówczas dla uzyskania złagodzenia kary wyznałby wszystko szczegółowo, przedewszystkiem zaś nie miałby powodu milczeć o tym który go zrabował. Mrożkowi mówił rozum: że powinien starać się być najdalej od Antka, Antkowi jakiś instynkt szeptał to samo, — obaj jednakże nie posłuchali tego głosu. Mrożek zamiast się oddalić od Antka wolał szukać sposobu odpędzenia go od siebie, nie chciał bowiem tracić korzyści swego przedstawienia się i pierwszych kroków, jakie go z tak dobréj strony dały poznać Skalicom; Antek ani nawet pomyślał o usunięciu się z oczu Mrożkowi, bo go spojrzenie Halki przykuło do miejsca. W tem leżała owa fatalność, która ich obu zatrzymywała tak blisko siebie, a teraz jednego popychała ku drugiemu i nowy między nimi zawiązywała stosunek.

Antek wszedł do mieszkania Mrożka, zdjął kapelusz, stanął u progu, nie przypominał mu się wcale, lecz po zmianie jego twatrzy poznał, że Mrożek o scenie leśnej pamięta i rzekł dość naturalnym głosem, choć mu czegoś było nie swojo:

— Chciałem was prosić panie bakałarzu, czybyście dla mnie listu nie napisali.

Mrożek zupełnie innych słów oczekiwał na początek. Zdawało mu się, że Antek poznał iż głupstwo zrobił, że mu w lesie nie zabrał wszystkich pieniędzy, i że teraz przychodzi ażeby mu resztę odebrać, grożąc wydaniem jego tajemnicy; żądanie Antka było tak dalece różnem od przewidywanego, że Mrożek w pierwszej chwili nie mógł przypuścić, żeby stojący przed nim góral był tym samym, który go zrabował w drodze.

Opamiętał się więc wkrótce, powiedział sobie: że to inny być musi, że mu się tylko przywidziało jakoby był tym samym i przybrawszy tę słodką minę, jaką już się przyzwyczaił przybierać ilekroć go ktokolwiek mógł widzieć w Skalicach, odrzekł łagodnie:

— Czemu nie, mój kochany.... napiszę ci, co tylko chcesz to ci napiszę, tylko widzisz jak to źle na świecie człowiekowi, kiedy się czego z młodu nie nauczył, a zwłaszcza takiej łatwej i tak potrzebnej rzeczy jak pisanie; taki człowiek jest potem jak bez prawej ręki. Ot, jeżelibyś chciał, to jabym cię pisać nauczył.

— Eh! już ja na to chyba za stary — odpowiedział Antek.

— Nigdy nie jest zapóźno na naukę.... za pół roku będziesz pisał tak jak ja, jeżeli chcesz....

— Ba! co mi tam gadacie za pół roku, kiedy ja teraz listu potrzebuję.

— No, to też ja ci teraz ten list napiszę, ale potem mógłbyś się uczyć swoją drogą — odrzekł Mrożek i kładąc przed sobą papier, mówił dalej z jeszcze słodszym i łagodniejszym uśmiechem, — te pewno do dziewczyny, do tej Halki Kałatówny, co ci w oczy wpadła.... dobry masz gust.... powiadam ci mój chłopcze, to dziewczyna jak malina: i bogata, i ładna, i dobra... będzie z was doskonała para.... cóż jej chcesz napisać?

Antka pogłaskała po sercu ta pochwała jego wybranej, dziwił się tylko zkąd tak prędko Mrożek mógł się dowiedzieć, że się z Halką mieli ku sobie, i słuchał z otwartemi ustami przemowy nauczyciela.

— Zaczniemy tak: „Moja sercem ukochana Halciu!”—nieprawdaż—poddał mu Mrożek.

— I! cobym ja miał do niej pisać—odrzekł nareszcie Antek, — albo to gęby nie mam, żeby jej powiedzieć to co chcę?....

— A więc to list nie do niéj?... no, to powiedzże mi do kogo, ja ci do każdego napiszę. Będziesz miał taki ładny list, aż się ludzie będą dziwili, że to ty tak ładnie piszesz.

— Do karczmarza Dawida w Zawianem.

Mrożka znowu dreszcz przeszedł—wątpliwości już teraz być niemogło. Karczmarz Dawid był człowiekiem, który go pierwszy obrał z połowy pieniędzy, który wiedział o jego tajemnicy, który mu dawał nauki i z którym najmniejszego już nadal nie chciał mieć stosunku. Teraz ten, który do niego chciał pisać, nie mógł być innym jak owym opryszkiem, co Mrożka napadł w lesie i powtórnie rozpołowił jego pieniądze. Dwaj ci rabusie mieli z sobą widocznie stosunki, i teraz jego samego chcieli użyć do zawiązania ich na nowo. A w jakim celu by się znosić mogli, jeżeli nie po to, żeby zrobić zamach na resztę jego pieniędzy, a może nawet na jego osobę?.... Dać się użyć do tej roboty, byłoby ze strony Mrożka największą niedorzecznością. Pomimo pomięszania jakiego nabawiło go wymówione przez Antka nazwisko Dawida, Mrożek niebył zdolnym do zrobienia takiego głupstwa. Ale i odmówić również nie było podobna: gdyby odmówił, czyżby Antek nie znalazł kogo innego, żeby mu kilka słów napisał?... a Mrożkowi wymknęłaby się wiadomość, co oni mogą chcieć od siebie.

Bakałarz skalicki zaczynał tracić głowę; siedział nad papierem z piórem już umaczanem, ale milczał i nie pytał się co ma pisać.

— No, cóż?.... napiszecie—spytał nie mogąc się od niego słowa doczekać Antek.

— Ale napiszę, bardzo piękny ci list napiszę — odrzekł szybko Mrożek, chcąc zamaskować swoje pomięszanie i zyskać czas na obmyślenie jak sobie począć, — jakże mam pisać?... dyktuj.... „sercem ukochany...”

— Gdziebym ja zaś jemu pisał, że on mi sercem ukochany — zauważył Antek.

— A cóż mu chcesz napisać?

— Ot, napiszcie mu tak poprostu: że ja tutaj jestem w Skalicach, że wszystko tak się stało jak on chciał i że go czekam tutaj, bo mam do niego interes.

— „Wszystko tak się stało jak on chciał”—powtórzył sobie w myśli Mrożek, — no, to już jasne, że właśnie Dawid wysłał tego chłopca, aby mnie napadł... Nie ma co mówić, zręcznie sobie począł. A teraz jego wspólnik myśli go tu sprowadzić, żeby mnie razem wzięli w obroty... Tego niepodobna dopuścić, ale jak tu temu przeszkodzić?... Przedewszystkiem jeżeli się uda, trzeba wybadać tego chłopca.

Zamyślenie nauczyciela, zaczęło niecierpliwić Antka.

— No cóż?... nie piszecie — zapytał.

— Eh! bo widzisz... to jest jakoś niejasno... trzeba mu wyraźniej pisać... nie zrozumie czego od niego chcesz i darmo tylko wydasz pieniądze na pocztę. Wszystko się stało jak on chciał, to tak się nieda napisać; niby ty możesz wiedzieć

o wszystkiem co on chciał. On może chciał czego innego, to będzie myślał że tak się stało...

— Piszcie tylko tak jak ja mówię, to już z pewnością będzie dobrze — odrzekł opryskliwie Antek, —jak tutaj będzie, to już ja mu resztą powiem.

— Więc po cóż pisać do niego, kiedy ty masz mu wszystko sam powiedzieć — próbował jeszcze podchwycić Mrożek, — jeżeli tak, to list zupełnie niepotrzebny, poczekaj aż tu przyjdzie i wszystko mu powiesz. Ja nie lubię pisać o niczem.

Antek zaczynał wpadać w passją.

— Co wy mi tu kręcicie i udajecie głupiego — zawołał głośno, — piszcie tylko tak jak ja chcę i basta.

— Ciszej, ciszej, kochanie — odrzekł przestraszony bakałarz, — powiedziałem ci przecież że napiszę, ale wypada prosić grzecznie, a ty napadasz i hałasujesz....

— Bo marudzicie a mnie pilno, — przerwał mu Antek.

— No, widzisz — ciągnął dalej nauczyciel, — że marudzę to już taka moja natura, ty jednak zawsze grzecznym być powinieneś, gdyż inaczej mógłbym się uprzeć i nie napisać...

— Albo to ja nie wiem cobym z tobą zrobił? — zawołał chłopak.

Mrożkowi przykro zabrzmiała w uszach ta zmiana tonu, który z opryskliwego stał się już otwarcie brutalnym, chciał się jednak dowiedzieć do czego jego upór mógłby doprowadzić Antka; bądź co bądź bowiem nie chciał pisać listu.

— No, cóżbyś ze mną zrobił mój chłopcze — rzekł łagodnie,—przecież ja tutaj pan u siebie i nie mógłbyś mnie zmusić do pisania.

— Aha! — odparł na to Antek, — niechno-byś nie chciał, to bym cię pchnął, żebyś się tak rozpłaszczył jak tamten nieboszczyk na skale.

— Cicho, cicho, chłopczę, na miłość Boską!

— No, to pisz!....

Mrożek konwulsyjnie porwał za pióro i zaczął kreślić na papierze jakieś wyrazy bez związku; Antek stał nad nim i patrzył w pismo, które wychodziło z pod pióra, jakby chciał je zrozumieć i odgadnąć.

Po niejakim czasie Mrożek skończył pismo, a raczej udał że je skończył i chciał je składać i pieczętować.

— Przeczytaj — zawołał Antek.

— Wszystko masz tak jak chciałeś — odpowiedział nauczyciel.

— Nie zawadzi, przeczytaj.

Mrożek patrząc na papier, dosyć gładko zaimprowizował list do Dawida.

— No, tak dobrze będzie — rzekł Antek przy końcu, — dziękuję wam, widzicie, żeście napisali...

Mrożek się uśmiechnął, twarz mu się rozpogodziła i zaczął składać list.

— Czekajcie-no, przeczytajcie mi jeszcze raz — rzekł wstrzymując go Antek.

— A to po co?

— Bo ja chcę jeszcze raz słyszeć.

— Et, dziwaczysz, czasu mi szkoda.

— No, to czytajcie prędzej kiedy wam pilno, ja nie ustąpię.

Myśląc, że mu się uda poprzednią swą improwizacją powtórzyć dosłownie, lub że się góral na niewielkiej różnicy nie spostrzeże—Mrożek zaczął na nowo udawać że czyta.

Antek słuchał z natężoną uwagą i spostrzegł wkrótce pewną różnicę od tego co słyszał poprzednio, wyrwał więc papier z rąk Mrożka, zmiął go gwałtownie i cisnął mu nim w twarz.

— A to co Antku? — rzekł Mrożek blednięjąc.

— Kręcisz!... pamiętaj co powiedziałem — odparł na to Antek zaciskając pięści, — napisz mi zaraz na nowo, tylko tak jak ja chcę i przeczytaj.

Zdawało się że nie ma rady i że trzeba będzie posłuchać. W ostatniej chwili przecież przyszedł Mrożkowi pomysł, który już na pierwszy rzut oka miał swoje korzystne i swoje niebezpieczne strony, ale nad którym pod grozą pięści Antka namyślać się niebyło podobna.

Napisał cały list zupełnie tak jak chciał Antek, dobierając umyślnie jak najogólniejszych i najmniej powiedzieć mogących wyrażeń, wtrącił do niego kilka zdań, które przy odczytywaniu pisma Antkowi opuszczał i podpisał nie nawiskiem Antka lecz swojem. Tym sposobem złożyło się pismo zapraszające Dawida, żeby przybył do Skalic nieprędzej przecież jak za tydzień po odebraniu listu, Mrożek bowiem ma mu nastręczyć sposobność do korzystnej spekulacji. O bytności Antka w Skalicach nie było ani słowa.

Antek dał się oszukać i po przeczytaniu kilkurazowem listu pozwolił go zapieczętować i zaadresować, a potem zabrał z sobą by oddać na pocztę.

Rad ze swojego pomysłu, Mrożek nie zaniedbał na odchodnem ująć sobie jeszcze Antka i ułagodzić. Zaczął z nim rozmowę o Halce, i prowadził ją tak zręcznie, że serce chłopca jakby miodem smarował.

— Zkąd-że wy wiecie, że jabym chciał ją za żonę, — zapytał Antek.

— Ba! ona taka śliczna, że chybabyś oczu nie miał gdybyś jéj nie chciał, — odrzekł Mrożek,— więc kiedy mi powiedziała, że nie byłaby od tego żebył został jéj mężem, tom się teraz wszystkiego domyślił.

— Powiedziała wam to, — z radością zawołał chłopiec.

— Tyle mi o tobie nagadała, że mi się jéj aż żal zrobiło, —rzekł chytrze Mrożek, —bo i co to będzie z dziewczyną, jak pójdzie za takiego jak ty...

— A cóż to ja złego?... hę?... —przerwał Antek, zaciskając pięści.

— Ot to właśnie, że się zalada słowo do pięści porywasz... gdyby się o tem dowiedziała, toby się ciebie z pewnością wyrzekła.

Antek w mgnieniu oka złagodniał.

— A może wyście, panie bakałarzu, —rzekł z cicha, — już jéj o mnie nagadali jakich tam niepotrzebnych rzeczy?...

— Cóż takiego naprzykład?...

— No, może o tem co wiecie, — jąkał się Antek.

— Że napadasz ludzi po drogach...

Antek nie mógł wytrzymać. Cisnął się na nauczyciela i trzęsąc się ze złości chwycił go za piersi.

— Powiedziałeś jéj to, ty zbójco, —le dwie mógł wymówić stłumionym od wściekłości głosem.

— Puść,—odrzekł nie tracąc przytomności nauczyciel, przygotowany na wybuch, który naumyślnie wywołał aby tym większe zrobić wrażenie na Antka, — puść natychmiast; bo jak niepuścisz, to jéj to powiem.

— Wprzód zginiesz jak mucha z mojéj ręki,—

odpowiedział Antek, puszczając przecież bakałarza, gadaj, co jej powiedziałeś?...

— Powiedziałem, żeś dobry chłopiec i że piękniejszego nad ciebie w całych Skalicach nie ma...

— Nie, kłamiecie?—spytał łagodniej już Antek.

— Ha! to spytaj się com do niej mówił o tobie....—rzekł Mrożek spokojnie i z powagą,—właśnieby też ona chwaliła cię tak do mnie, gdybym jej o wszystkiem powiedział.

Antek pomyślał chwilę i uznał, że bakałarz ma racją.

— Więc mi nie myślicie włazić mi w drogę, panie bakałarzu, — rzekł po namyśle.

— Miałbym prawo, — odparł Mrożek, — boś ty mi przecież w drogę wlazł, ale powiadam ci, że nie będę, jeżeli i ty mi w drogę włazić przestaniesz.

— Ja wam tam w niczem przeszkadzać nie będę, panie bakałarzu,—odpowiedział udobruchany Antek, — możecie sobie robić, co wam się podoba, tak jakby wcale Antka na świecie nie było.

— Szczerze mówisz?..-.

— Mogę wam się przysiądz na wszystko.

— A więc... — rzekł zwolna Mrożek, — oddaj mi list, który ci napisałem do Dawida.

Antek najzupełniej nie przewidywał tego żądania. *(c. d. n.)*

TYGRYS.

„Właśniem wszedł do swego namiotu by odpocząć—powiada pewien oficer angielski ze Wschodnio Indyjskiej kompanji—gdy usłyszałem wystrzał broni ręcznej. Powstałem natychmiast i spytałem swego szyldwachu co to znaczy: w tejże chwili straszny tygrys, unosząc jednego z naszych dzielnych towarzyszy w paszczy, przebiegł w strasznych podskokach o kilka sążni od miejsca w którem się się znajdowałem. Szyldwach mój dał ognia, ale za nadto był wzruszony, by strzał jego mógł być pewnym. Kula, według wszelkiego prawdopodobieństwa zadrasnęła zwierzę, jak przynajmniéj wnosić należało z nadzwyczajnego skoku tygrysa, wszakże zdołało to tylko bieg jego przyśpieszyć. Mogliśmy przynajmniej iśćza śladami krwi, która się lała z boku napastnika lub nieszczęśliwej jego ofiary. Nie straciliśmy jeszcze nadziei ocalenia naszego towarzysza; ale wyobraźcie sobie nasze przerażenie, gdyśmy usłyszeli rodzaj okropnego ryku, który odbijając się echem o sąsiednie góry, jeszcze okropniejszym się zdawał; pojmiecie też i radość naszą, która wnet potém nastąpiła, gdyśmy usłyszeli głos naszego nieszczęśliwego towarzysza, przyzywającego nas do siebie. W kilka chwil potem ujrzeliśmy go wybiegającego z zarośli z twarzą taką radością opromienioną, jak nigdy.”

Opowiadanie biedaka, który tak cudownym sposobém uniknął niechybnej śmierci— opowiadanie opisane przez niego samego, uzupełni powyższe opowiadanie:

„Niosłem obiad dla mojego towarzysza—powiada —gdy nagle usłyszałem jakiś szmer w krzakach o kilka kroków za mną, i za nim zdołałem się odwrócić by się przekonać o przyczynie onegoż, zostałem porwany i obalony z taką gwałtownością, żem zupełnie postradał przytomność. Dopiero wystrzał fuzji połączony z lekką kontuzją w nodze, przywołał mię do siebie i dał poznać cały ogrom niebezpieczeństwa, w którem się znajdowałem. Nie rozpaczałem jednak. Zacząłem przemyśliwać nad środkami ocalenia i jakkolwiek szybko unoszony, uczułem jednak, że kula szyldwacha zamiast tygrysa, mnie zadrasnęła. Czułem zresztą, że krew tracę. W tem przypomniałem sobie, że mam u pasa bagnet i pojąłem, że jeżeli uda się mi go wyciągnąć, może zdołam uniknąć okropnej śmierci, która mię oczekiwała. Nie bez trudności uniosłem rękę w tył, znalazłem oręż i probowałem wyciągnąć go z pochwy, ale znajdowałem się w tak złej pozycyji, że nie mogłem tego uczynić. Nie podobna opisać trwogi jaka mię natenczas opanowała: sądziłem, że już ostatnia godzina moja wybiła. Wreszcie przy Bożej pomocy, zebrałem wszystkie siły, wyciągnąłem badnet i w tejże chwili wsadziłem go w kark zwierzęcia. Poskoczył na bok, a oczy jego złowrogo zaświeciły. Puścił mię, ale w tejże chwili uchwycił powyżej bioder, co mnie zrazu pozbawiło oddechu. Ta zmiana jednak pozycji, pozwoliła mi działać swobodniej; to też przebiłem go kilkakrotnie w okolicy łopatek i tak głęboko, o ile bagnet mój mógł się zagłębić—tygrys zachwiał się i upadł. Teraz zdawało mi się żem ocalony; powstałem, ale i on powstał i próbował mię uchwycić, ale padł i wyciągnął się u nóg moich. Teraz miałem zupełną wyższość nad nieprzyjacielem leżącym na ziemi i nie zaniedbałem też skorzystać z tego. Raz jeszcze przeszyłem bok jego bagnetem, prawdopodobnie w samo serce trafiłem. Tygrys nie żył. Padłem wówczas na kolana i gorąco dziękczynienia Najwyższemu Stwórcy składałem, ale tak byłem wzruszony, że wyrazów mi brakło by okazać swą wdzięczność Temu, który mię oswobodził od tak okropnej śmierci.”

Wypadek, któryśmy dopiero opowiedzieli naszym czytelnikom, należy do niezmiernie rzadkich, i gdyby nie pismo z którego te szczegóły czerpiemy, zaledwiebyśmy dali mu wiarę. Tygrys bowiem jest bezsprzecznie najdrapieżniejszem ze wszystkich zwierząt na kuli ziemskiej, a zuchwałość jego do tego stopnia się posuwa, że napada na słonie, na inne większe zwierzęta, nawet na lwa, który przez poetów uznany został jak wiadomo, za króla zwierząt. Niektórzy nawet zapewniają że były przykłady, iż się rzucał na cały oddział należycie uzbrojonych żołnierzy i porywał ze środka upatrzoną przez siebie ofiarę. Tygrys bengalski, najdrapieżniejszy z tego rodzaju zwierząt, śmiało zbliża się do mieszkań ludzkich, a były nawet przykłady że i do miast ludnych wchodził; wówczas wszyscy mieszkańcy robią nań obławę, która rzadko kiedy bez ofiar się obejdzie. To tylko szczęście, że potwór ten w niektórych tylko krajach się znajduje, a i tam nawet coraz rzadszym się staje. Ojczyzną jego jest. Bengal, Siam, Chiny, wyspy Londskie, w ogóle południowa Azja. Wielkości jest lwa, nogi tylko ma nieco krótsze futro zaś ciemno żółte, pręgami czarnemi okryte, ogon długi także pręgowany. Wiele osób najniewłaściwiej nieraz zwaną skórę pantery, nazywa tygrysią: pantera bowiem ma futro w plamy czyli punkta czarne, gdy tygrys w takiegoż samego koloru pręgi. Skóra tygrysia jest bardzo poszukiwana w Chinach.

Rzecz dziwna, te najdziksze i najdrapieżniejsze jednak ze wszystkich zwierząt stworzenia, nie są jednak ze wszystkich popędów wyzute: w samicach tygrysa jest nieraz w najwyższym stopniu rozwinię-

ła miłość macierzeńska. Nieprzeskadza to jednak samcowi, by w napadzie wściekłości nie rozszarpał czasem swego potomstwa. W ogóle drapieżność jego i złośliwość nie słychane: lew napada tylko w potrzebie lub w razie obrony, tygrys w każdej chwili gotów jost rozszarpać każdego, kto się ośmieli mu nawinąć. Zdarzają się jednak przykłady, że tygrys daje się oswoić. *M. K.*

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI Opiekuna Domowego.

— *P. Śl. F. F.* Dziękujemy za jego serdeczne ujęcie się za naszą krzywdę, wyrządzoną w jednem z pism tutejszych. Jużeśmy na to odpowiedzieli, nie mamy żadnej urazy, a pracujemy szczerze dla dobra naszych czytelników, których częste odbierane odezwy, są dla nas prawdziwą nagrodą.

Poezyjek pańskich drukować nie możemy, bo są bardzo słabe. Mało jest poczciwie myśleć, ale chcąc pisać do druku, trzeba obok zdolności, dużo i dużo pracować. Komu czas na to nie pozwala, lepiej poprzestać na czytaniu pożytecznych książek i pism, które nasz umysł wzbogacić i serce uszlachetnić mogą. Taka nauka nie tylko że nas samych poprawia, ale i dla drugich staje się przykładem, a przez to rozszerza dobre zasady w społeczeństwie.

— *Panu J. P. w Sudzymkrzu.* Żądany Nr. 9 Opiekuna Domowego dostarczony Mu zostanie, skoro pan udzielisz adres za jakim ma być przesłany; co się zaś tyczy innej kwestji w liście pańskim zawartej, takowa oddaną została do rozpoznania na właściwej drodze.

— *Panu Jacentemu z Wojciechowa.* Jakkolwiek nic nie mamy do zarzucenia obu pańskim utworom, nie możemy ich jednak drukować w *Opiekunie.* W ogóle, programat naszego pisma nie pozwala mu wkraczać w sferę dziejową, ale otworem za to stoją inne gałęzie piśmiennictwa, z któremi od samego początku swego istnienia, Opiekun stara się obeznać swoich czytelników.

ROZMAITOŚCI.

— **Dobra wiara.** Nigdzie może dobra wiara i uczciwość w tak wysokim nie są rozwinięte stopniu, jak w niektórych kantonach Szwajcarji. Jeżeli gdzie, to tu zapewnie kasy bezpieczeństwa najmniej są potrzebne. Znaleźć tu można naprzykład takich oberżystów, którzy będąc zmuszeni na kilka dni opuszczać swoj zakład, pozostawiają go otworem dla podróżnych bez żadnego dozoru. Podróżny znajduje tu wszystko czego mu potrzeba, z notatą cen wszystkich produktów, za które pieniądze pozostawia często na stole i nie ma przykładu, aby co zginęło. W tejże Szwajcarji przed kilkunastu jeszcze laty, w wielu wioskach każdy podróżny miał prawo wejść do jakiego bądź ogrodu i zjeść tyle owoców, ile się mu podobało—za to gospodarz za nic w świecie nie chciał przyjąć zapłaty. Czy dziś zwyczaj ten istnieje—nie wiemy, ale że istniał przed laty, to pewna. Nie zdziwi nas ta uczciwość i prawość charakteru, gdy przypomnim sobie, że każdy Szwajcar nie tylko czytać umie, ale co większa lubi czytać; że nie nowina tu znaleść prostego chłopa, który i gazetę prenumeruje i niezłą posiada biblijotekę. Gdzie jest takie pragnienie oświaty, tam musi być uczciwość.

— **Co kraj to obyczaj.** Pewien najnowszy podróżnik po Ameryce Północnej, w ten sposób opisuje powitanie ojca z córką po kilku tygodniach niewidzenia.

— Rachuję (jesto ulubiony wyraz Amerykanów), że sześć już tygodni nie było cię w domu, moja droga?

— Jak raz czterdzieści dwa dni, ojcze.

— Gdzieżeś przez ten czas jeździła?

— Byłam w Kontuky, Wirginji i t. d.

— Dobrze... A jak tam stoi bawełna?

— Podskoczyła o dwa centy.

— A cukier?

— Spadł o jeden cent; kukurydza nie zarodziła; papiery niujorkskie stoją wysoko.

— I cóż więcej?

— Nic. Ale pozwól mi ojcze przedstawić sobie tego pana—jestto mój mąż! Wzięliśmy ślub w mieście X* w zeszłym tygodniu.

— Panie! spodziewam się, że przyjemnie mi będzie poznać się z panem.

— I ja bardzo się cieszę, że mogę być panu przedstawiony,—odpowiada zięć grzecznie ale chłodno.



Tygrys (do str. 383-ej).

— **Zasługi** w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wydają się dla nas tak nadzwyczajnemi, że gdyby nie jednomyślne świadectwo podróżników, nigdybyśmy im wiary nie dali. W Nowym-Yorku naprzykład rządca domu bierze 150 dolarów *miesięcznie* (dolar wynosi 8 do 9 złotych), kucharz 120 dolarów, kamerdyner 100 dolarów, a prosta pomywaczka 25 dolarów miesięcznie.

PODSŁUCHANE W OGRODZIE.

Żona. Mój mężu, jak też to leczą powietrzem zgęszczonem.

Mąż. W tym zakładzie co to na Wiejskiej ulicy?

Żona. Tak.

Mąż. A bardzo naturalnie, chory siada w fotelu, otwiera gębę, a doktór pakuje mu do niej rurę, która ma komunikację z pompą powietrzną. Otóż, jak doktór powie raz, dwa, trzy, posługacz zaczyna pompować, powietrze wchodzi wewnątrz chorego, który wydyma się jak pęcherz...

Żona. Ależ może biedak pęknąć...

Mąż. A od czegoż doktór? Jak zobaczy niebezpieczeństwo, odejmuje pompę i chory zdrów jak rybka.

Żona. Ale bywają zapewnie przypadki, że powietrze rozerwie chorego?

Mąż. Nie inaczej, moja duszko.

Żona. Mężu, jakbym ja chciała żebyś spróbował tej kuracji.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor. Adam Mieczyński.